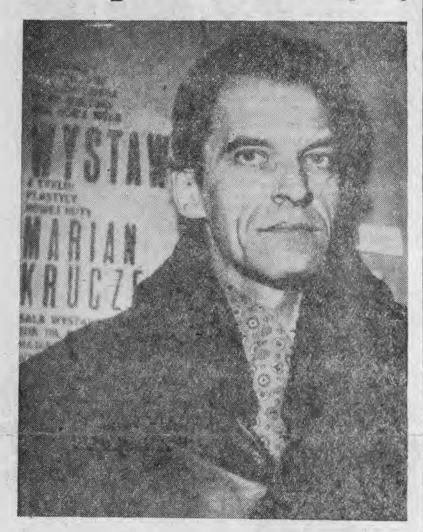
WIDNOKRA

TYGODNIK KULTURALNY

URAZUJE SIB Z _NOWINAMI EZESZOWSKIMI" Nr 13 (183) Rok V 4 IV 1985 r.

Sztuka — to serce i temperament artysty



Fot. JERZY SZUBERLAK

Rozmawiamy w pracowni pełnej żelaznego złomu, pogiętych drutów, śrub, trybów, części maszyn. Na ścianach, pod sufitem, na zbudowanej ciesielskim sposobem galeryjce obrazy, rzeźby, przedziwne ptaki nieptaki, zwierzęta nie-zwierzęta, ludzie nie-ludzie z żelaza, betonu, złomu.

Przeglądam katalogi, gazety szwedzkie, belgijskie. Po entuzjastycznym przyjęciu w Brukseli, Miami na Florydzie, po udziale w wystawach sztu-ki polskiej w Splicie w Jugosławii, Bochum w NRF, Wystawie Retrospektywnej w Galerii Lambert w Paryżu, po wystawach indywidualnych w Krakowie i Warszawie, Marian Kruczek otwiera cykl wystaw "Plasty-cy Nowej Huty" organizowanych przez Wydział Kultury Dzielnicowej Rady Narodowej w Zakładowym Domu Kultury Huty im. Lenina.

Wystawia w środowisku własnym, z którym związany jest od kilku lat. Należy do grupy artystów stale mieszkających w Nowej Hucie.

Mieszka wraz z kilkoma kolegami malarzami w jednym z nowohuckich wieżowców, gdzie na ósmym piętrze zajmuje wysoką, obszerną pracow-nię. Rozmawiamy o ostatniej ekspozycji, o dalszych projektach i zamie-rzeniach, o przysziej wystawie jego prac w Rzeszowie.

Wystawa rzeszowska nie jest niezależnie od tego, jakie ono by-sprawą przypadku. Wydaje mi się, lo, nie przypomina rzeczy przymoże być interesującą konfrontacją twojej sztuki i tradycji, z któ-

ona wyrasta. Co mogę powiedzieć? Chyba
to, że bardzo się cieszę, że będę
mógł u was wystawiać. Sam dobrze wiesz, że nie wszystkie lata były dla mnie szczęśliwe. Przyje-mnie mi, że wracam po latach w środowisko, z którym wiele mnie wiąże, że wracam z czymś, co pozwoli mi się porozumieć z nim po prostu jak człowiek z człowiekiem. A co szczególnie ważne — z człowiekiem tego samego środowiska, tego samego regionu, tego samego

Czy ten rodzaj twórczości, jaki uprawiasz od kilku lat, to co robisz obecnie, ma jakiś zwiazek z twoim dzieciństwem, z całym jego pejzażem i klimatem, czy istnieje jakieś pokrewieństwo twojej sztuki z doznaniami dziecka urodzonego wychowanego w podsanockiej wsi?

Chyba tak. Ile razy chcemy być szczerzy - wracamy do dzieciństwa, do tego świata, który zawsze wydawał nam się najpiękniej-ży. Powrót do dzieciństwa nie jest jadną ujmą, "hańbą" czy upokozeniem intelektualnym, jak sądzą liektórzy. Wprost przeciwnie: pozwala na najszczersze, a często i najpelniejsze wypowiedzenie się, a chyba sam wiesz, że dzieciństwo,

ło, nie przypomina rzeczy przy-krych, nieprawdziwych, zelganych.

Wydaje mi się, że cala twoja twórczość to rezultat jakiejś walki, zmagania się. Myślę tu nie tylko o opornym materiale, betonie, stali, żelazie, ale o czymś szerszym. Czy to nie jest w ogóle jakaś clągłość twojej drogł do sztuki. Trafiles do niej, powiedziałbym w nie-typowych okolicznościach. Do Liceum Sztuk Plastycznych wyjechales, nazwijmy to, nie zawiadamiając najbliższych... Czy to nie jest ta sama sprawa samodzielnego szukania własnej drogi do poznania, sprawdzenia i wyrażenia siebie, bez względu na ryzyko, jakie stwarzają takie poszukiwania? Masz chyba rację. Wiem, czuję to, że ciąży na mnie, może nawet pewna obsesja. która w okresie studiów poważnie mi przeszkadzała, a dziś wręcz przeciwnie - bardzo mi pomaga.

JAK MAM TO ROZUMIEĆ?

Nauczyłem się jednego: żeby coś zrobić trzeba bardzo dużo pracować, trzeba włożyć w pracę wiele wysiłku, bez jakiegokolwiek odfajkowywania problemów, jakie człowiek przed sobą stawia.

To musi być konkret, bardzo uczciwie wykonany do końca, w którym jest miejsce i na uczucie, i na

(Clag dalszy na str. 3)

W roku 1770 dwudziestokilkuletni Franciszek Karpiński, student teologii kolegium jezuickiego we Lwowie, a zarazem śpiewak Justyny, korzystając, że jego przyjaciel Pu-zyna wraz z guwernerem jezuitą Kobylańskim udaje się do wiedeń-Theresianum, pospieszył wraz z nimi po raz pierwszy za gra-nice. W kraju od dwu lat wrzała nieustanna wojna domowa między partyzantką konfederatów barskich a uganiającymi za nią wojskami rosyjskimi. Szczególnie dawała się ona we znaki w Galicji. Młody poeta, sympatyzując początkowo z walczącymi o utrzymanie zagrożonej niepodległości ojczyzny konfedera-tami, zamierzał wziąć udział w wal-ce. Ponieważ ich wyczyny, jego zdaniem, niewiele pożytku mogły przynieść krajowi, wolał uciec za granicę. O powzięciu decyzji tak pisał w "pamiętnikach": "Czas to był, w którym i ja, ruszony patriotyzmem (...) miałem się przyłączyć do nich i już w tym celu wszystkie zrobiłem przygotowania, ale widząc największą między nimi niesfor-ność, pijaństwo i rabunki, zupelnie te myśl z głowy usunąłem(...)".

Droga do Wiednia wiodła przez Kraków i zatłoczona była oddziałami konfederackimi, które na każdym kroku wyrzucały poecie, że w tak ważnej chwili opuszcza kraj. Podażając do Krakowa podróżni zatrzymali się w Głogowie u księżnej Branickiej, starościny bolimowskiej, zaciętej, jak i jej brat, konfederatki. "Tam u księżny — pisze Karpiński — nasłuchalem się modlitw publicznych ku potłumieniu króla. Tam prócz innych konfederatów pozna-lem i Potockiego, starostę szczerzeckiego, który potem od konfe-deracji był posłem do Konstantynopola, a który wkrótce w Wied-niu będąc, wiele mi dowodów przy-jażni swojej doświadczy?".

Za półtora roku, teskniąc za opuszczonym krajem, czego dowodem był napisany w Wiedniu utwór: "Tęskność do kraju", w roku 1771 wracał Karpiński do ojczyzny. Podróż odbywał już innym szlakiem, którym za lat kilkanaście podążał z wód do swych krewniaków w rodzinnym Dubiecku poeta biskup Ignacy Krasicki: Dunajem przez Peszt, Preszburg, "na Lipsk". Sta-nąwszy na górach karpackich oszo-łomiony był Karpiński widokiem ujrzanej ojczyzny.

Tereny owe poeta przemierzał je-szcze niejednokrotnie. Odwiedzal bowiem krewnych w Partyni koło Tarnowa. Jedna z jego podróży zo-stawiła poetycki ślad: "Podróż z Dobiecka na Skałę". Kiedy autor sielanek po zawiedzionych nadziejach, jakie pokładał w Czartoryskim ("Podróż z Warszawy na wieś"), w roku 1883 powrócił zno-wu do Galicji, gdzieś latem następnego roku znalazł się w Dubiecku,

ALEKSANDER ZYGA

własności Antoniego Krasickiego, brata księcia biskupa. Zacnego tego pomnożyciela rodu Krasickich, jego staropolską gościnność i cnotę, któ-rego Dubiecko, zwiaszcza w rzad-kich chwilach odwiedzin księdza biskupa, ściągało całą kulturalną elitę okolicznej szlachty, tak opieściągało całą kulturalną wał nadworny poeta księcia bisku-pa, Joachim Kalnassy:

"Plerwsze zaświadcza sąsiedztwo całe, Głośna o tym wszędzie mowa, Wspomina dzleła twe okazałe, Nozdrzet, Iskań, Nienadowa".

"Podróż z Dobiecka na Skale" stanowi opis jednego z epizodów od-wiedzin A. Krasickiego: odbytej przez poetę w towarzystwie kobiet wycieczki uroczymi brzegami Sanu pobliskiej Skały. Dołączył ją poeta do listu Sewerynowi Rzewuskiemu. Po raz pierwszy ukazała się drukiem w roku 1787 w siódmym tomiku "Zabawek wierszem i prozą". "Stało się, jak Pan rozkazał – pisał do adresata. – Wierszem przeze mnie świeżo opisaną podróż z Dobiecka na Skałę (gdzie u hra-biego Krasickiego byłem i sam tę podróż pod imieniem Filona, jak jest w wierszach, odprawilem), po-syłam, obiecując i na potem, jeżeli się co napisać trafi, z równą dba-łością przesyłać (...) Opisując poddróż, która prawdziwie była, małem sie wiernie przygód, jakie

tylko w tejże podróży trafily się. Już tedy tym sposobem ja chyba tylko za rymowanie czesto niegład-

kie obwiniony będę".

I poeta, jak wszyscy przybysze Dublecka, uległ urokowi cnót jego właściciela:

Własciciela:
"Z Doblecka, gdzie Pan miejsca w
dawnej swej dziedzinie,
Staropolską szczerością i enotami siynie;
Gdzie z nim żona przykładna pouczyła dziatki,

Zo jedne pełnią cnoty przed oczyma matki,

matki,
Drugie patrząc z plinością na star-szych przykłady.
Myślą: »1 my też kiedyś pójdziemy w ich ślady-".
Rozpoczyna poeta swój utwór,

przechodząc do konkretnego opisu wycieczki. Porzucenie częściowe — jak to widać z listu do S. Rzewu-skiego — pierwotnej bukolicznej konwencji, gdzie według mody wieku, występujące osoby ukrywały się pod sielankowymi imionami sam poeta był tu Filonem — przy-dały "Podróży" pewnej dozy auten-tyczności i "realizmu". Zostawiając na boku przygody i perypetie towarzystwa, żartobliwe, aumorystyczne, często nawet makabryczne dygresje "Podróż z Dobiecka na Skałę", uważana za naśladownictwo z Horacego, okazuje się opisem wieknych widoków. najklijszych pięknych widoków najhliższych okolic Dubiecka, przesuwających się z kalejdoskopową szybkością, zależnie od miejsca obserwacji: z brzegów Sanu czy płynącego po nim czółna. Na narysowany przez poetę sztafaż pejzażu składają się tu wzgórza i doliny, lasy i skaly, niebo i woda, opromienione czerwienią zachodzącego słońca. Widokowi z góry:

"Nad samym dwór Dobiecki brzę-giem Sanu leży, Który niedostatecznymi zakrętami bieży. bieży.
Wdzięczne kępy czystymi ramiony o-krywa,
Chytry, sam je porobli, i sam je za-lewa!"

przeciwstawił poeta widok z dołu:
"Ziemia, wody, opoka, które tak zuchwale
Z dolu, patrząc niebiosom panować
się zdały".

Caly ów kalejdoskop widoków zostaje pochłonięty przez zapadający

zmrok, w którym
"(...) niebo stare swoje panowanie
wzięło,
ziemię z wodą, z lasami w swym łonie zamknęło".

Dokładna i szczegółowa konfrontacja opisu Karpińskiego z topookolic Dubiecka niewątpliwie utworowi Karpińskiego rangi dokumentu malarskiego. Dzięki tym uroczym poetyckim opisom pięknej "wstęgi Sanu" to-rował śpiewak Justyny drogę poe-zji tej rzeki, którą za nim konty-

(Ciag dalszy na str. 4)



Picasso w oczach żony

Przeżyła z nim 10 lat. Była świadkiem najbliższym wielu osobistych sukcesów i rozczarowań. Wyniosła z tego małżeństwa 18-letniego dziś syna Claude'a przeświadczenie o genialności współtowarzysza oraz pewność, że pożycie z geniuszem nie jest latwe. Wiele wspomnień zamknęła w książce, którą nadesłała jako pracę konkursową dla krytyków sztuki do Carlton Lake. Wydawszy ją, z góry chyba wiedziała, że stanie się bestsellerem.

A oto kilka "nagich" faktów o tym najbardziej dyskutowanym malarzu naszej epoki, opracowanych na podstawie fragmentów książki Francoise Gilot:

Z odrobina nostalgii i smutku wspomina Picasso tuż po ostatniej wojnie okres swego pobytu w stynnym siedlisku artystów no Montmartre — w Bateau Lavoir Ten "okres niebieski", który zapoczątkował legendę o malarzu był jednocześnie jego złotym wiekiem, kiedy zaczynał swój podbój świata,

kiedy wszystko wydawało się świeże, nietkniete, stanowiło początek wyważania wrót do wielkiej tajemnicy tworzenia. W latach późniejszych odkrył nagle, że podbój był wzajemny, obustronny; świat zachłystując się jego sztuka, jednocześnie kupował go na użytek publiczny, coraz bardziej wciągał go we własne problemy, gdzie sztuka stanowiła tylko jedno z wielu zainteresowań. Kiedy odkrył ironię paradoksu o obustronnym podboju, był gotów wypróbować wszystko, aby odnaleźć swój złoty wiek i powrócić do czasu swobodnego, niczym nie skrepowanego artysty.

czym nie skrepowanego artysty.
Wtedy zaczęły się jego ponowne
wędrówki po Montmartre, powroty
do Bateau Lavoir i wspomnień o
przyjaciołach. Wydawało mu się, że
wystarczy nacisnąć klamkę dawnej
pracowni, by wrócić do "niebieskiego okresu".

Długi, jednopiętrowy budynekszopa o dwojgu drzwiach: tu
malował Juan Gris, tu prawie pod
jego pracownią mieszkał świetny
poeta — dziwak Max Jacob, który
posiadł zdumiewający talent wyszukiwania u bliżnich wrażliwych
i czułych miejsc, tu wreszcie częstym gościem bywał Apollinaire,
któremu Jacob dokuczał, pokpiwając z hrabiny Kostrowickiej — jego
matki.

Teraz patrząc na Bateau Lavoir Picasso rzekt: "My tam
jesteśmy". A kiedy stat kiedyś
przed drzwiami swego atelier
na pięterku, gdzie wisiała tabliczka z nieznanym mu nazwiskiem, stwierdził poważnie: "nie
wiem, kto tu teraz mieszka, ale to
przede wszys'kim moja pracownia...
i wystarczy tam wejść, by znateć
się we wnętrzu okresu blękitnego".
Drzwi jednak były zamknięte. okres
blękitny pozostał za nimi – na drugim brzegu...

Picasso nie mógł nigdy pogodzić się z nieubłaganym działaniem czasu, przez które zatracał swore pierwsze pojęcia o rzeczach. Długo wspominał małą córkę konsjerżki, skaczącą na skakance; moment, kiedy po latach wirzał ją postarzałą kobietą przeżył jako wstrząs psychiczny. Uzmysłowiła mu uciekanie czasu. Przywiazywał się do pierwszych wyobrażeń. Był zdania, że model z jakaś zdecydowaną osobowością, winien być trzymany w ukryciu, albowiem wszystkie jego kontakty osobiste ze światem zewnętrznym, w prostej linił bedą prowadziły do zatarcia indywidualności, do wynaturzenia samego modelu.

Najdluższe dysputy na temat sztuki wiódł ze swoim nieodłącznym przyjacielem — George Braque'm. Zabawne trochę, a jednocześnie dość znamienne i potwierdzające wielki wysiłek twórczy malarza było pewne spotkanie dwóch artystów, o którym Picasso tak opowiadał:

""prawie każdego wieczora szedlem odwiedzić Braque'a w jego atelier, lub też on przychodził do mnie. Absolutnie trzeba było podyskutować o pracy wypełniajacej nam dzień. Płótno nie mogło być skończone, jeśli któryś z nas nie buł co do niego zgodny. Przypominam sobie, że Braque pewnego wieczora buł w trakcie malowania wielliej mortwej natury, w owalu, z pudelk'em tytoniu, faiką i innumi uświeconymi rekwizytami kubizmu. Oheirzalem obraz, cofnąłem się i rzebłom.

"Mój biedny przyjacielu, to jest wstrząsające, ale ja widzę wiewiórkę na twoim płótnie".

"Ależ to niemożliwe" — krzyknał Brague.

"Zgoda, to jest może paranoja, ale ja widzę wiewiórkę!". A płótno nie powinno dawać złudzeń optycznych. Ludzie odczuwają potrzebę rozpoznania przedmiotu; ty chcesz, by widzieli pudełko z tytoniem, fajkę i inne nieodzowne elementy. Ale, na milość boską, najpierw musisz pozbyć stę tej wiewiórki".

Braque odszedł kilka kroków, obejrzał obraz z wielką uwagą t... spostrzegł wiewiórkę, ponieważ ten rodzaj złudzeń jest na pewno zaraźliwy.

Odtąd walczył z wiewiórką całymi dniami. Zmieniał formy, oświetlenie, kompozycję — ale wiewiórka uparcie wracała. W końcu, wreszcie złudzenie i płótno stały się na powrót paczką tytoniu, fajką i przede wszystkim płótnem kubistycznym.

Od tej pory nasze dzielo stało się rodzajem poszukiwawczego laboratorium, do którego nie wkraczały nigdy żadne pretensje ni osobista próżność".

I nteresujące i zarazem charakterystyczne dla jego przekonań było spotkanie w pierwszych dniach po wyzwoleniu Paryża z Andre Bretonem. Kiedy ten papież surrealistycznej poezji pojawił się pod balkonem Picassa, malarz na teb na szyję wyleciał z mieszkania (przekonany, że Breton szuka go, pragnie odnaleźć) i z wyciągnięta ręka biegł mu naprzeciw. Breton, który spędził okres okupacji poza Francja zdążył jednak juz dowiedzieć się o przekonaniach Picassa; zwłoszcza jedneco z nich – świeżej przynależności do komunistycznej partii nie móał mu darować. Reki nie podał. Zaskoczony taką reakcją dawneao przujaciela Picasso usiluje wytomaczyć własne przekonania przede wszustkim doświadczeniem przeżytych lat; nie maja one zresztą dla niego nic wspólnego z przyjażnią, która jest wyższa nad różnice w interpretowaniu historii.

Breton dogmatycznie konsekwentny, z kamiennym spokojem oświadcza, że jego zasady nie zostawiają żadnego miejsca kompromisom.

Wtedy, nie zniechęcony Picasso, usilując ratować ich przyjaźń, wspomina Madryt i mówi:

"W czasie mego pobytu w Hiszpanii, w latach trzydziestych, spotykalem często grupę intelektualistów, zbierających się w jednej z kawiarń. Wyznawali, jedni i drudzy, zasady zupełnie przeciwstawne sobie. Niejednokrotnie toczyliśmy wściekle dysputy i wiedzieliśmy, że w razie konfliktu będziemy we wrogich sobie obozach; lecz żaden z nas nie widział w tym wystarczającego powodu do zrywania przyjażni. W prost przeciwnie, sądzę — jezeli nie myśli się jednokowo o przedmiocie, nie pozostoje nic innego, jak tylko zostawić dyskusję nad nim otwartą".

pamiętają go wszyscy z tego okresu, jak ubrany w sworą spłowiałą jasnobeżową gabardynę, zmiętoszone spodnie i zdeformowany, stary kapelusz mocno wciśnięty na oczy, z połami długiego zielonkawego szala, zarzuconymi modą artystyczną na ramiona, przemierzał wąskie uliczki Paryża, pozornie niewrażliwy na terażniejszość, szukający swego dawnego złotego wieku, mimo wszystko nieustannie przetwarzał rzeczywistość w genialne koncepcje malarskie. Myślę, że takim zachowa się w pamięci współczesnych, wbrew anegdocie czasem złośliwej, czasem śmiesznej. A że każde świadectwo o geniuszu winno być płeczołowicie chronione — zapewniać chyba nie trzeba

Opracowała według "Paris Match" KRYSTYNA ŚWIERCZEWSKA

JAN ŁYSAKOWSKI

Jubileusz Hugona Morycińskiego



HUGON MORYCINSKI, dyrektor i kierownik artystyczny Tea-tru im. W. Horzycy w Toruniu, obchodzi w tych dniach jubileusz 40-lecia pracy aktorskiej. Rozpo-czął ją w roku 1925, w Miejskim Teatrze w Lublinie, kontynuując jednocześnie studia prawnicze. Następny etap to praca u Oster-wy w warszawskiej Reducie. Wieńczy ją po trzech tatach sukces nie byle jaki: Osterwa po-wierza Hugonowi Morycińskiemu kierownictwo Reduty. W r. 1934 dyr. Moryciński zosiaje sekretarzem lite ackim Teatru Polskiego i Malego, a następnie generalnem sekretarzem lite ackim teat w warszawskich. Po złożeniu eg a-minów reżyserskich w Państwowym Instytucie Sztuki Teatralnej obejmuje stanowisko dyrektora Teatru Popularnego i Teatru Malego w Łodzi. Po wyzwoleniu początkowo rezyseruje w teatrach warszawskich, a następnie jest kolejno dyrektorem teatrów: w Kielcach, Szczecinie, Gdańsku, Rzeszowie, Bydgoszczy. Bardzo bogaty jest dorobek reżyserski Jubilata, Krytyka przede wszystkim podkreślała jego osiągnięcia reżysersko-inscenizacyjne w takich sztukach, jak "Sen nocy letniej", "Burza", "Wesele", "Bal'adyna", "Noc Listopadowa", "Kordian". Hugon Moryciński jest również wychowawcą licznej kadynaktowakiej dry aktorskiej.

(Fragment przygotowanej do druku książki "Dowódca wowyduni)

Na zdjęciu: Hugon Moryciński.

CAF - fot. GILL

Kompania to wyższy stopień wtajemniczenia. Ponadto dowodzenie kompania oznacza, że się ma w pułku pewną pozycję. Bo tak jak w każdej społeczności i tu istnieją różne grupy. Najwyższa to oficerowie sztabu i dowódcy baonów. Wiedzą najwięcej, decydują o wielu sprawach, są najbliżej "wielkiego oltarza". Potem idą właśnie dowódcy kompanii. Są to dowódcy już do pewnego stopnia samodzielni. Bo to i pewna swoboda w planowaniu szkolenia, bezpośrednia zależność od sztabu pułku w sprawach gospodarczych, bądź co bądź jakiś zamknięty organizm organizacyjno-taktyczny... No i co nie jest bez znaczenia dla ambicji — to jest pierwszy szczebel, na którym ma się podwładnych oficerów... Oczywiście, że zwiększone uprawnienia z reguły pociągają za sobą i zwiększone obowiązki. Jakoś to jednak w marzeniach o tych obowiązkach nie bardzo chciało się myśleć. Co tam, da się radę... Ostatecznie nie święci garnki lepią...

A w ogóle to cekaemiści stanowią pewną elitę. I umieć trzeba więcej niż dowódca kompanii piechoty i jest się tym drugim zastępcą dowódcy baonu. Zawsze przecież w rozkazie bojowym jest niezmienne stwierdzenie:

— Plerwszym zastępcą jest szef sztabu baonu, a drugim dowódca kompanii cekaem...

się tą główną siłą ogniową baonu...
Z czasów, gdy byłem dowódcą plutonu pamiętam, że życie dowódcy kompanii było wcale niezie... Zajęcia prowadzili dowódcy plutonów, gospodarkę szef, pracę polityczną zastępca. Dowódca miał tylko koordynację

Bądź co bądź z kompanią moździerzy jest

i kontrolę...
Właściwie to najszczęśliwsze są pierwsze chwile dowodzenia. Przychodzi człowiek do kompanii, a tam wpatrują się w niego dziesiątki oczu. Każdy, od dowodcy plutonu począwszy do szeregowca chce się pokazać jak najlepiej. Przecież nowy nikogo nie zna i od pierwszego wrażenia dużo zależy... Tymczasem człowiek widzi tylko dobre strony swego nowego stanowiska. Ludzie zrywają się na baczność, dyżurny czeka na wejście dowodcy,



"Rzeszowski numer "Głosu Młodzieży Wiejskiej"

Kontakty kształtującego się w Rzeszowie środowiska literackiego z czasopismami i literatami krakowskimi są ostatnio coraz żywsze i korzystniejsze. Na ich ożywienie wpłyneja niewątpliwie działalność Klubu Literackiego w Rzeszowie, który zresztą znajduje się pod bezpośrednią opieką krakowskiego oddziału ZLP. Klub już dwukrotnie gościł u siebie Stefana Otwinowskiego; z referatem o debiutach prozatorskich roku 1964 wystąpił krytyk Jacek Kajtoch: przyjęli zaproszenia Wisława Szymborska, Jerzy Lovell i Jan Zych. Adam Włodek, doświadczony opiekun młodych poetów znaby z działalności w krakowskim Kole Młodych utrzymuje stały kontakt z rzeszowskim KKM-em. Z tym zacieśnianiem stosunków właże się coraz częstsza obecność młodych pisarzy rzeszowskich na łamach krakowskich per odyków.

Po "Forum" (pisalem o tym wyoawn wwie w "Wlanokregu") wychodzący w Krakowie "Głos młodzieży wiejskiej" udzielił rzeszowiakom gościny w ostatnim, marcowym numerze Drukuja tam swoje wiersze — Czerław Płotr Kondraciuk, Bronisław Dryja Marian Berkowicz, Emil Granat Tadeusz Kubas, Józef Janowski

Barbara Tondos, Zdzisław Ostrowski, Wincenty Zawirski, Wiesław Kulikowski, Andrzej Zabierowski Zdzisław Teneta, Ludmiła Pietruszkowa i T. Piekło. Strony z poezją zdebią reprodukcje prac rzeszowskich plastyków: Zdzisława Ostrowskiego, Mariana Stelmasika, Alfreda Kuda, Adolfa Jakubowicza i Zuzanny Kusek. Z tego duzego zestawu różnorodnych wierszy zasługują moim zdaniem na wyróżnienie dojrzałe i oryginalne utwory Zdzisława Ostrowskiego i Tadeusza Piekły.

Tadeusza Piekły.

Prozę artystyczną reprezentuje fragment powieści Wiesława Koszeli "Gorzkie czereśnie". Sądząc z publikowanego urywka powieśc zapowiada się interesująco. Jest w tej prozie wyrazistość obrazu, jedrną soczystość języka i duży ładunek liryzmu utajonego w pozonej rzeczowości relacii.

adunek hryzmu utajonego w pozocnej rzeczowości relacji.
Ponadto Bogdan Loebi w reportażu "Fanatycy słowa", pisze z
uznaniem i życzliwościa o Amatorskim Teatrze Słowa "Meluzyna" przy Domu Kultury WSK w
Rzeszowie – ezespole znanym i
wielokrotnie nagradzanym na ogólnopolskich festiwalach teatrów
poezji. Wspomina przy tym o
zbliżeniu, które nastapiło miedzy
Klubem Literackim a "Meluzyna"
Pierwszym owocem tego zbliżenia
bedzie wspólnie przygotowany

wieczór wierszy miłosnych rze szowskich poetów.

Adam Włodek w szkicu "Przygoda i płonierstwo" pisze o próbach krystalizacji w Rzeszowie środowiska literackiego, o inicjatywach i działalności KKM-u w tym kierunku i Klubu Literackiego. Reportaż Adolfa Jakubowicza o życiu nauczycieli w Bieszczadach i artykuł Haliny Mańkowskiej o polityce i sytuacji kulturalnej w województwie rzeszowskim to dalsze publicystyczne akcenty w piśmie. Ze względu więc na ilość i dobor materiałów marcowy numer "Głosu młodzleży wiejskie!" można nazwać rzeszowskim. Szkoda tylko, że ten miesięcznik rzadko ukazuje się w kloskach "Ruchu" na terenie naszego województwa. Należy przypuszczać, że współpraca rzeszowskiej młodzieży literackiej z "Głosem" bedzie nadał rozwijać się równie korzystnie, obok kontaktów z "Forum". "Życiem" Literackim" i "Kameną".

Ma to dla niej duże znaczenie, gdyż rozwijać się, doskonalić warsztat i docierać do odbiorców można jedynie przez częste publi kowanie utworów. To jest warunek konieczny przy próbach ksztatowania u nas jednolitego środowiska literackiego.

BARBARA SIDORCZUK

Porochunek

Nim ta rozmowa dobiegnie końca, kilkakrotnie w ciszy nocnej zabrzmi rozpaczliwie, trwożnie lub ponagla-jąco okrzyk: doktorze!... Oderwie vie w pół zdania oprawie w pół zdania oprawie wie wowczas od wspomnien, przerwie w pół zdania, oprzytomnieje i odejdzie w mrok korytarza szpitalnego. Z innego już wymiaru; czujny i opanowany. Precyzyjny w geście, kojący, odpowiedzialny za lęki nocne ludzi powierzonych jego opiece. Gdy wróci, trzaśnie zapałka (doktor za dużo pali, doktor lekceważy zalecenia lekarzy). Szukać będzie nadal, fledzić zygzaki własnego tycia; doprowadzą go one do tego punktu w życiorysie, który znaczy KS. Kara śmierci.

Co to znaczy: być uczciwym?... Czy człowiek, który zawiódł, może być uczciwy?... Czy zbiór atomów, atomów w ruchu, był wczoraj tym samym zbiorem co dzisiaj? Nie jestem filozofem, jestem lekarzem. Mój dekalog prywatny brzmi: pierwsze – będziesz uczciwy, dru-gie – będziesz uczciwy, trzecie – będziesz uczciwy... To było 20 lat temu. Który z moich czynów był piewszym niezaaprobowanym przez s czeństwo? Czy mieli prawo skazać, a jeśli tak, to czy mieli pra-wo ułaskawić? Właśnie wtedy. Dzisiejszych miar nie sposób przykładać do wydarzeń sprzed lat 20. Dziś mówimy innymi językami, młodzież ocenia bohaterów filmowych opo-wieści o pierwszym dniu wolności w zależności od ich gry...

Historia dokonala rozliczenia pierwszym dniem wolności. Przyjął to rozliczenie spokojnie, rzec by można — z aprobatą. Ale ma swoje własne porachunki z tym innym człowiekiem sprzed 20 lat, który jest nim samym, Nocami zwłaszcza, gdy pęknie tama wspomnień, stają przeciw siebie i wykładają własne racje: ofiarny lekarz, społecznik i entuzjasta oraz chłopiec z karabinem. Cóż za rację może mieć 18-latek, od którego żądano wtedy prze-de wszystkim celności strzatu? Ale on był zawsze hojny. Do walorów strzeleckich dolożył jeszcze serce i wiare. Wtedy, gdy zrobili "skok" na więzienie, na spist karabinu naciskala właśnie wiara. Wiara, że z więzienia uwolnić trzeba najlep-szych. Strzelał celnie, przed bramą upadi strażnik. Inny człowiek. Z je-go śmierci obecnie wciąż pragnie się rozliczyć.

Ujęto ich prawie wszystkich. Klopotliwy to był gatunek przestępców. Racja stanu dyktowała: rozprawić się z podziemiem jak najsurowiej. Racja stanu nie przewidywała, że podziemie w tym wypadku nie mia-to jeszcze, poza dwoma, ukończonuch 18 lat. Ich dwóch odpowiadało na operacja. Stanąt nad stolem, na jako ludzie dorośli. Pospieszna, którym leżał człowiek. Dla niego był krótka rozprawa w warunkach to tamien, który upadl przed bramą

przyfrontowych i najsurowszy wy-rok. Racja stanu musiała poczuć się zażenowana; wykrwawiony kraj nie stać na dalsze ofiary. Jak zresztą zamknąć usta dzieciom, które jeszcze nie miały okazji zademonstrować swych racji w normalnych warunkach? Wiec zwlekano z wykonaniem wyroku, a oni szarpali się w celach, sądząc, że to rodzaj wy-myślnych tortur. Mijały tygodnie. Tygodnie dziecinnego przerażenia i doroslej trwogi.

Nie wiedzieli w celach, że wieś zbiera podpisy. Na prośbie o laskę nie zabrakło ani jednego nazwiska. Zwracamy się z najgorętszą prośbq...". Tu następowało wyliczenie wszystkich zalet dwóch skązańców. Sporo tego bylo Najdonioślej jednak zabrzmiał argument o wieku. -Młodzi, ale zabijać to potrafili powiedział ktoś zmęczonym glosem w Warszawie, gdy pojechali z pety-cją. Za dużo było tej młodzieży umiejącej strzelać celnie, jak na potrzeby kraju udręczonego okupacją. Czy karać wszystkich, nawet tych niesprawdzonych działaniem w normalnych warunkach? Ułaskawili. Potem przyszła amnestia. Jak ze ztego snu wyszedł przed bramę więzie-nia. Chłopiec — wczoraj z karabi-nem, dzisiaj — z balastem najcięż-szego doświadczenia.

A tumczasem w kraju ruszulu pociągi, rozgwarzyły się klasy szkolne, na polach szumiało zboże. Był dzień powszedni nowej rzeczywistości. On zamknął się w chalupie rodzinnej i czekał. To nowe dzisiaj — nie mogło być prawdą. Nie mogło nią być tak zwyczajnie, tak po prostu. A jeśli było – to gdzie jest jego

Chylkiem, wieczorem wsiadł do pociagu. W Warszawie nikt go nie znał. Stangł do pierwszej pracy, do jakiej go chcieli wziąć. Potem poszedł do kuratorium: - Jestem po wyroku śmierci... - zaczął swą prosbe. Ale w kuratorium nie mieli czasu na wzruszenia: - Do którei klasy? - zapytano krótko, po czym podano adres szkoży, do której zostaje skierowany. I tak usiadł na lawie szkolnej. Kul jak szatan. Odgrywał się na tym swoim zbluffowanym życiu formulami gramatycznymi i prawami fizyki. Przeskakiwał semestry, celując we wszystkich przedmiotach, milkliwy, nielubiany za nieujność. Potem skończył medy-

A potem byla pierwsza samodziel-

więzienia w roku 1945. Czekał na pomoc Trzeba mu pozwolić żyć. Nie wolno zabijać drugiego człowieka. Mózg ogarnia wielka cisza, rece stają się precyzyjne i sprawne. Doktor zdaje praktyczny egzamin z umiejetności medycznych. Nie, to nie to Doktor zdaje egzamin znacznie poważniejszy: on ratuje człowieka. Aby zabić – trzeba było sekundy, aby wrócić życie – trzeba było lat pracy i obecnego, skupionego wysiku.

Jest rewelacją wśród młodego lekarskiego narybku. Talent, pelne po-czucie odpowiedzialności plus maksymalna ofiarność. Spokojny, cierpliwy i... noreszcie pogodny. Powoli narastać zaczyna legenda; szcześliwa reka, nadzwyczajne serce. Le-genda ma wymiar jednego szpitala. ale który z młodych lekarzy nie marzy chociażby o takiej? Jest zapowiedzią, pierwszym symptomem lekarskiego powodzenia. I wówczas rzuca zdobyty już teren.

Organizuje mały ośrodek wiejski, gdzie odbiera się porody, szyje rany po burdach i tłumaczy, że kołtun to nie choroba. A gdy wieś ucywilizo-wała się i "ukulturalniła"—idzie do szpitala powiatowego.

Nim ta razmowa dobiegnie końca, świt zajrzy do okien. Nim padnie ostatnie slowo tej zażartej dyskusji dwu racji jednego życiorysu, wielo-krotnie zabrzmi wyczekująco i z nadzieją: doktorze!... I wtedy przer-wie w pół zdania i pójdzie w mrok korytarza szpitalnego, by pochylić się nad czyimś łóżkiem. I tylko, gdy pozwoli sobie na luksus wspomnień, zakończy je żarliwym pytoniem: czy już jesteśmy skwitowani? Be-dzie to pytanie pod adresem chłopca z karabinem,

Sztuka – to serce temperament artysty

(Clag dalszy ze str. 1)

intelektualne rozważania i na to wszystko co nazywa się sztuką. W twolch pracach jest wiele pce-

zji, groteski, humoru. Są w nich, wydaje mi się, reminiscencje jasetkowych postaci, ich mnowność, a równocześnie jednoznaczność... Zawsze twierdzę, że tyle jest komedli w powadze ile powagi w komedli w powadze nie powadze n medii. Popatrz na niektóre uroczystości, spotkania, posledenia... Po-patrz na ludzi, których znaleś do ad jako normalnych, skromnych obywateli, co sie z nimi dzieje, gdy ich powołają za stól prezydialny... Jakie przybierają poważne i uroczyste mi-ny. Stąd chyba wyciągnąłem wniosek dla siebie, by mówiąc o rzeczach śmiesznych, zmieścić w nich całą powagę życia.

Twórczości twojej przypisuje się oechy sztuki pełnej fantazji, temperamentu, żywiołowości. A równo-cześnie prace, które miałem moż-ność oglądać budowane są w spo-sob bardzo celewy i zamierzony. ta rodziła się z serca. Jak to siq dzieje?

Wydaje mi się, że w sztuce wszystko powinno mieć jakiś określeny cel. Jeśli wychodzimy z tego założenia to wszystkie elementy obrazu, rzeźby spełniać powinny określoną rolę. W dobrej sztuce jest wiele z tego chłopskiego poczucia celowości formy i przedmiotu.

PRZYKŁAD?

Zwyczajny, drewniany, wiejski Ma niezwykle prostą konstrukcję złożoną z elementów poziomych i plonowych. V kompo-zycji tej zawiera się właściwie ca-ly podstawowy symbol znaków plasty are h ananych każde su artyście, a tak znakomicie odczutych

przez nieuczonych cieśli i stola-

rzy. W czasie jednego z pobytów w Rzeszowskiem, gdy wspólnie z kolegą oglądaliśmy wytwory sztuki ludowej, wycinanki, pająki ze sło-my, zwróciliśmy uwagę na to, że artysta ludowy tworzy inaczej niż absolwent Akademii, nie tylko ze względu na dzielące ich różnice wykształcenia, wiedzy, możliwości wypowiedzi. Różnica polega rów-nież na czymś zupełnie innym.

Oto przedświateczna sobota, taka jaką znam, jaką pamietam. Już jest po świątecznych porządkach, zamiecione podwórko, wybielone izby. Do świeżo wymytego stołu zasiadają domownicy i zaczynają ma-lować pisanki. Jest to niemal obrządek. Każdy chce, by jego pisanka była najpiekniejsza, najbardziej ko-lorowa. Tu, w takich okoliczno-ściach rodzi się wspaniała, radosna,

Myślę o takim właśnie stosunku artysty do świata: szczerym, bezinteresownym. Jestem przekonany, że sztuka, jeśli chce oddziaływać, musi być ezymś więcej niż chłodną spekulacją myślową. Musi zawie-rać — sądzę, że to nie za wielkie slowo - temperament i serce ar-

Przebywając ostatnio w Muzeum Sandekim widziałem tam kilka twoich prac. Bylem mile zaskorzony, że mając tyle korzystnych ofert od zagranicznych marchandów ofiarowałeś je Muzeum.

JAKIE BYŁY MOTYWY TEJ DECYZJI?

W czasie wakacji spotkałem się dyrektorem tej placówki panem Stefańskim. Po rozmowie z nim doszediem do wniosku, że nie cekając na zakupy powinienem przekazać jej kilka swoich prac. Jest to zresztą mój moralny obowiązek wobec stron rodzinnych. Bedzie mi milo i z wiasnych prywatnych względów. Być może, po latach mój syn zwiedzając Muzeum w Sanoku powie: "o, praca taty..."

DZIĘKUJĘ CI ZA UWAGI

Pożegnaliśmy się późnym wieczore n. Spotkemy się na otwarciu wy-stawy Mariana w Rzeszowie. Spotkamy się z interesującym, oryginalnym artysta i skromnym jak dawniej, jak w tamtych nielatwych latach, człowiekiem.

Rozmawiał ADOLF JAKUBOWICZ

by złożyć raport, wyciągnięty dwuszereg czeka na rozkazy. Na razie trwa "miodowy" okres, przyjmowanie majątku, zapoznawanie Nie ma jeszcze trudnych spraw...

się... Nie ma jeszcze trudnych spraw... Nawet nie myślałem, że kompania ma aż tyle sprzętu. Uzbrojenie, umundurowanie, sprzęt kwaterunkowy, saperski, chemiczny, świetlicowy... No, no, ale się uzbierało...

Potem rzeczywistość jest jak zwykle inna niż wyobraźnia. Przychodzi kołowrotek co-dziennych spraw. I przychodzi odczucie cię-żaru dowodzenia i odpowiedzialności. Każdy przychodzi po decyzję. A ty, dowódco, nie masz prawa się przed nia uchylić...

Któregoś dnia przyszedł do mnie kapral Małek, dowódca drugiego plutonu. Tylko pierwszym dowodzi oficer, drugi i trzeci były obsadzone podoficerami...

- Obywatelu poruczniku, melduję, strzelec Bielczyk zamierza coś ze sobą zro-

Grzebałem się akurat w rozlicznej dokumentacji kompanijnej i wcale nie miałem ochoty na żarty.

Nie plečcie głupstw... Co to znaczy "coś ze sobą zrobić"?

- On chce się zabić., - Co zrobić? Zabić!? - Tak jest...

Porwala mnie złość. · To niech go szlag trafi! Powiedzcie mu to...

Kapral stał nieruchomo, bez słowa.

Siadajcie – powiedziałem – i gadajcie

co i jak... Opowieść nie była długa. Otóż Bielczyk myśli o odebraniu schie życia. Ma nawet przygotowany nabój. A może nawet kilka sztuk... Zwierzył się z tego szeregowcowi Za-dziorneniu. Oczywiście sprzydzenie jego

szafki i lóżka nie dało żadnych rezultatów... - Ależ człowicki! - zawojajem - to, że on coś gadał je zcze niczego nie dowodzi. Mole właściwie o nic nie chodzi, Może to tylko taka sobie przejściowa chimera.

- Kiedy on spalit wszystkie listy, jakie tylko wiel. I ch dzi taki jakiś nieswój. Za-

bije się na pewno. Chodzilem po kancelarii jak lew w klatce.

I tak samo bezsilny. Cóż, mogę tu kiąć, wydziwać, rzucać się, a Bielczyk palnie sobie w leb. I potem wszystko będzie na mnie. Zaczną dochodzić: czy prowadzono z tym żolnierzem pracę wychowawczą, czy opiekowano się nim, co zrobiono, by nie dopu-ścić do wypadku. Prokurator, informacja, aparat polityczny. Oczywiście dojdą do wniosku, że zastosowano nieodpowiednie metody wychowawcze. Bo inaczej by się nie zastrzelił. Tu nie będzie tłumaczenia. Wchodzi w grę życie człowieka. Ze on któregoś pięknego dnia może się zastrzelić nie miałem co do tego najmniejszych watpliwości. Przecież nikt go nie upilnuje. nierz chodzi z bronią na wartę, na strzel-nicę, na zajęcla. Codziennie ma w rękach karabin,

Moim zastępcą do spraw politycznych był chorąży Szumiński. Chłopak młody, dopiero od paru miesięcy jest oficerem. Na całą sprawą reagował zgodnie z notatkami, jakle miał jeszcze ze szkoły w swoim zeszycie.

- Przeprowadzę z nim rozmowę indywidualna.

- A jak się wyprze wszystkiego? Jak to? Przecież sam się przyznał.

Byliście przy tym? - No nie, ale ...

Chorazy stracil caly animusz. Prawde mowiąc i mnie było jakoś nieswojo. Bądź co bądź sprawa poważna. Oto chodzi sobie człowiek po rejonie kompanii, a za dzień, za dwa czy nawet za godzine będzie trucen... Do cholery! Tylko pójść i skuć mordę Sprawa była poważna. Ostatnio wzięto ale poważnie za nadzwyczajne wypadki. Każda taka historia była zgłaszana natychmiast do Warszawy, do sztabu okregu, prokutatury i licho wie gdzie jeszcze... Każdy z dowóddržal na słowa: nadzwyczajny wypadek. To jakby zawalona inspekcja, tylko je-szcze w gorszym wydaniu. Za nadzwyczajne wypadki zdejmowano od czasu do czasu dowódców różnych szczebli. Człowiek więc już zawczasu miał stracha.

Oczywiście Szumiński rozmawiał z Bielczyk em. Początkowo tamten nie chciał mówić. I tak już sprawa jego planowanego sa-

kpili sobie z niezo ile wlezie. On raś zacinał się w wewnętrznym uporze. W ogóle to warunki zbiorowego zakwaterowania nie sprzyjają zwierzeniom w sprawach osobistych. Szczególnie tam, gdzie ludzie żyją ze soba najbliżej, w tej samej sali. Wytwarza slę przeważnie specyficzna atmosfera kpinki ze wszystkiego i wszystkich, odżegny wanie slę od poważniejszych uczuć. Każdy stara się zachować jak cwaniak o dużym życiowym doświadczeniu. Każdy chwali się ile to mlał przygód, jak sobie gwiźdźe na wszystko. Słabsi — bardziej nieśmiali zemykają się w sobie i przeżywają różne konflikty. gruncle rzeczy kompania stanowi zbiór dopiero wkraczających w życie miodych lu-dzi. Wielu z nich dopiero tu, w wojsku poznaje szerszy świat. I dlatego, że jest on taki nowy, taki rozległy i dziwny udają, że wiedzą o nim więcej niż koledzy. Działa wtedy ambicja tamtych. Nikt nie chce być innym, słabszym, bezradniejszym. Już mia-łem zamiar pod lada pretekstem ukarać Bielczyka aresztem i tym samym zabezpiesię przed wypadkiem, gdy Szumiński wpadł na pomysł skontaktowania się z rodziną Bielczyka. Powoli stawał przed nami obraz sytuacji: otóż narzeczona Bielczyka początkowo mieszkała w tej samej wiosce co i on. Potem, po roku jego služby wojskowej pojechała do Łodzi. Tam przy pomocy kuzynki zaczęła pracować w fabryce jakoś urządziła się. No i jej Józiek zaczal być coraz mniej atrakcyjny. Csłabia korespondencja. Chłopak wziął to sobie do głowy Dostaiem list od matki delewczyny:

mobójstwa rozeszla się po kompanli. Chłopcy

W odpowiedzi na list pana śpiesze doleść, że dzięki Bogu moja Stasia czuje się lobrze. A dla zego osn o nia pyta? Teraz jest w mleście Łodzi, ubrana, dobrze się czująca. Narzeczonego z wojska oczekuje, chłopak akuratny, gospodarski syn, choć ich tam kilkoro na te morgi wypada.

Rozpisała się mamusja dość szeroko. O wy prawie, jaka córce przygotowała, a która córka własną pracą powiększyła, o narze-czonym, który o coś tam ma pretensje, oczywiście niesłuszne, bo Stasia dziewczyna jak

złoto, o tym jak się młodzi kiedyś urządzą na gospodarce. Po naradzie z Szum ńskim pokazajem ten list Bielczykowi. Czytał go kilka razy w skupleniu poruszając bezglośnie wargami. Potem niespodziewanie wybuchnal:

- To przez starą te klopoty! Przez nią... Forsy się im zachciało, morgów.

I rozpłakał się. Nie znoszę lez u mężczyzn. I w ogóle te historie z powodu ko'net dziwią mnie, Jak to? Że ona nie chce pisać czy rozmawiać? To czort z nią! Baba z wozu — koniom lżej.

No, tu się trochę zagalopowalem... Nie tak dawno, jakieś niecałe cziery lata temu, gdy byłem w wieku Bielczyka, też ciężko przeżywałem niezbyt udaną miłość. I co się dziwić jemu?

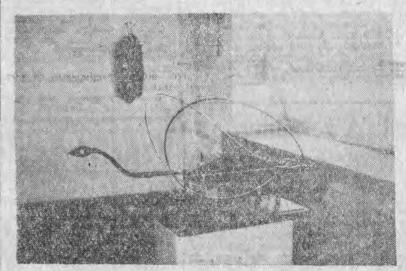
Nasza dość ostra interwencia sciagnela wreszcie i narzeczona. Poczatkowo rozmawialiśmy z nią we dwóch: ja i Szumiński. Siedziała przed nami piedpie, teche wy-straszona dziewczyna. Od razu można poznać, te nled wno wy la ze wsi. Po ruchach, sposobie wyrażania się, I newet po uhlorze. Już widać na n'ej miasto, ale jesreze to wyglada sytucinie, jakby przyczepione trochę na wyrost, Mówiła i plakala, piakala i mó-

- Józek, tam my sobie mówili, że sie poerzemy. Chodzil do mnie i chodzil, naga-

- No, a teraz?

 Ja nie chcę siedeleć na nospodarce.
 W fabryce mam dobrą pracę, teraz wysyala na kurs.

Potem Szumiński wziął ich obcje na dłuższą rozmowe. Ja nie miałem czasu by: przy tym. Spłakali się, Józef i Stasia, jak bobry. Ona coś wspominala o powrocie na wieś, on oddał nabój. Jeżnak go miał. Niby wszystko skończyło się dobrze, ale jakoś nie bardzo chciało mi się wierzyć, by tych dwoje umiało ułożyć sobie wspólne życ'e. To już chyba dwa światy, dwa odmienne spoirze-nia na życie. Bielczyk na jesieni posiedł do cywila. Coś tam jeszcze wspominał o Stasi, ale ona dalej przebywała w Łodzi. Nic o nich więcej nie słyszałem.



NA WPROST

STYL

Kurtki z podniesionymi kolnierza- krzykliwość i histeryczna ruchlimi przepasane rzemieniem. Maksy- wość!... To zwracanie na siebie uwamalnie wąskie porteczki z dzwona- gi za wszelką cenę... bo nie zauwami u dołu spuszczone na gumowe żą, lub co gorsza zlekceważą... Bumalnie wąskie porteczki z dzwona-mi u dołu spuszczone na gumowe cholewiaki lub ciuchowe półbuty z wysokimi jak do konnej jazdy obcasami. Spodnie najczęściej z grubego drelichu lub co najmniej z cajgu. Szeroko rozpięta, kraciasta koszula jeszcze mocniej podkreśla ascetyczną zgrzebność stroju. To wszystko powinno być mocno wymięte i brudnawe. Dziewczyny z tego kręgu chetnie noszą spódnice z dermy lub ze skóry, gumiaki - i opinają się rzemieniem. Wszyscy są programo-wo niedomyci i rozczochrani, gdyż to nalety do dobrego tonu.

Taki stylowy młodzieniec wcho-dzi do kawiarni w szczelnie zapiętym palcie, owiniety po uszy szatikiem podchodzi do "swoich", przy któ rymkolwiek stoliku i przysiada się na poręczy fotela. Podaje wszystkim bezwolną jak proteza dłoń i zaczyna być od razu dowcipny. Musi bo-wiem natychmiast zwrócić na siebie powszechną uwagę, inaczej jego wejście do lokalu byłoby pozbawione sensu. Najprościej wykazać swą błyskotliwość przez użycie finezyj-nego stylu w rozmowie. Najczęściej wiec w takiej pogawędce powtarza się pewne porzekadło na "k...", a później w znacznie mniejszej ilości wszystkie inne wyrazy. Następnie odbywa się przymierzanie damskich czapek lub hełmów z gazety, rozpalanie ogniska w popielniczkach, rzucanie kulkami papieru z jednego rogu sali w drugi lub "żartobliwe" przekomarzanie się z Melnerką zwracającą uwagę, że to jednak lokal publiczny. Każda młodzież zawsze miała ja-

kiś swój styl i to często drażniący lu-dzi spoza jej środowiska. W tych, któ re ja pamiętam zawsze były tęsknoty do wdzięku, pewnej, czasem na-wet przesadnej elegancji, do jakieji intelektualnej pozy. Dziewczetom zawsze zależało na szyku, często za wcześnie udawały damy lub "sex-bomby". Ci mlodzi ludzie nie chrą być banalni. Ich snobizm idzie w przeciwnym kierunku. Skrajny prymitywizm kulturalny — "ubralem zię w com ta miał" jako wytyczna mody, "programowa" wulgarność zamiast wdzięku i wreszcie ta

dują wprawdzie swój własny świa-tek dość hermetycznie zamknięty. Powiązani sobie tylko wiadomymi kontaktami i zależnościami, tworzą getto o osobliwych obyczajach i prawach. Grupy towarzyskie, łączą się tam z grupkami przestępczymi, notoryczni i notowani chuligani, dziewczęta podejrzanej konduity utrzymują przyjacielskie stosunki synami i córkami inżynierów, lez synami i córkami inżynierów, lekarzy i prokuratorów... Ale równocześnie chcą, by wszyscy to ich getto
zauważyli, afiszują się swą solidarnością celowo. W tym tygielku
mieszczą się zarówno uczniowie
szkół zawodowych, młodzi robotnicy, fak i stuchacze wyższych
uczelni. Oczywiście nie twierdzę,
że wszyscy. Większość temu stylowi nie ulega.
Zabawne jest to, iż tei młodzieńy

Zabawne jest to, iż tej młodzieży wydaje się, że jest nowoczesna, wielkomiejska i modna w swoim sposobie bycia. Tymczasem ich maniery bardziej niż beatlesów i bigbeatowców przypominają chłopa-ków i dziewczyny z Boguchwały czy Zaczernia. Ten styl jest nie tyle wielkomiejski, co przedmiejski i to w bardzo specyficznym podrzeszow-skim wydaniu.

Nie usiłuję tu robić żadnych uogólnień. Nie charakteryzuję młodzieży w ogóle ani nawet całej rze-szowskiej młodzieży, tylko pewne jej środowiska prawie zamieszkujące w kawiarniach i lokalach. Ale prag-nalbym uświadomić tych nastolat-ków i nastolatki, że są prowincjo-nalni i śmieszni. Może to ich trochę otrzeźwi.

otrzezwi.

Istnieje stara sentencja "styl to człowiek". Gdybyśmy ją potraktowali zbyt dosłownie i przymierzyli do tej młodzieży, chyba byłoby to z krzywdą dla niej. Nie wszyscy są tacy, na jakich wyglądają. Pod watacy, na jakich wyglądają. Pod watacy, na jakich wyglądają. runkiem, że nie za późno zaczną kształtować swój indywidualny spo-sób bycia i stosunek do świata, że wyzwolą się spod nacisku i rygorów tego specyficznego środowiska — można oczektwać, że większość z nich wyrośnie na dzielnych ludzi.

pisarz TUREK

Mówi Alberto Moravia

Korespondent czasopiama "II Głorno" przeprowadził z Albertem Moravią wywiad na temat współ-czesnej powieści oraz odpowie-dzialności pisarzą wobec społ-graństwa.

ezeństwa. — Czy uzaszdniona jest opinia, jakoby powieść przeżywała kry

wys?

— Powieść nie przeżywa kryzysu — odpowiedział pisarz. — Kryzys przeżywają powieściopisarze. Wydaje mi się, że zarówno pisarze — tradycjonaliści, jak i ci z awangardy dowodzą, że nie rozumieją pewnej rzeczy dość prostej, mianowicie, że nie istnieje powieść jako gatunek literacki, istnieją powieścionisarze. Obecnie dynie powieściopisarze. Obecnie powieściopisarze przechodzą kryzys właśnie dlatego, że wierzą raczej w istnienie tego gatunku literackiego, niż we własne istnienie jako pisarzy i ludzi.

- Czym powinien zajmować się pisarz w naszych czasach?

Pisarz powinien pisać - powiedziałem to już dość dawno. Lecz pisarz jest także człowiekiem wiedziałem i powinien spełniać wszystkie swo-je obowiązki. Must być człowie-kiem zaangażowanym politycznie i społecznie, must być człowiekiem etycznym.

Nad czym pracuje Pan obec-- Nad powieścią pod tytułem "L'atenzione" ("Uwaga"). Jeszcze jedno pytanie, nie mające wiele wspólnego z poruszo-nymi problemami: gdyby mógł Pan zostać jednym z bohaterów literackich wszystkich czasów, w kogo chciałby się Pan wcielić? — W Alicję w kralnie czarów.

"Poto - poto"

W afrykańskim narzeczu lingala "poto-poto" oznacza nadmorski piasek albo plaże. Ale "poto-poto" to także nazwa zdobywającego na świecie coraz
wiekszą popularność stylu malarstwa
afrykańskiego, który przyswolła sobie
grupa miedych piastyków kongijskich.
Szkoła "poto-poto" wywodzi się ze
sztuki ludowej Pigmejów, którzy rysunki swe umieszczali na korze lub ryli w bawolim rogu. Plastycy kongijscy, idąc za pierwowzotem, ulepszyli
go, a elementy ludowości wzbogacii o
nowoczesną technikę. Ich rysunki malowane tempera na kolorowym papierze odznaczają się delikatnością linii
i niezwyklym bogactwem twórczej inweneji. Tematem są sceny z życia ludów afrykańskich — taniec, polowanie, obrzędy. Male obrazki "poto-poto"
przenoszą się ostatnio z "Czarnego Lądu" do muzeów Londynu, Paryża, Amsterdamu i Brukseli, znajdują także
licznych nabywców prywatnych?"

Warto ododó, że niedawno powstał
druci ośrodek szkoży "poto-poto"

Warto dodać, że niedawno powstał drugi ośrodek szkoży "poto-poto" — w Senegalu. Uwała się, że klerunek ten jest reprezentatywny dla afrykań-skiej sztuki plastycznej.

Ob. Edward Sz. — Przemyśl: Prosimy o nadesłanie większego zestawu wierszy. Jeden i to tak miniaturowy nie pozwala nam się zorientować w Pana możliwościach. "Sen nad strumieniem" jest interesujący i świeży, choć niedopracowany.

Ob. Henryk H. — Przemyśl: Jak wyżej, "Anstomia drzews" również niewiele nam mówi, ale widać, że coś w
tym jest.
"Listek" — Gorlice: Nie skorzystamy.
To takie sobie rymowanki, w których
jakiejś iskry poezji nie potrafilismy
się dopatrzeć,

J. B.: Donos wierszem? Czy to lad-nie używać do takich celów rymu? Jeśli istotnie w tym PGR jest tak źle, napiszcie rzeczowy, krytyczny artykuł.

fil Gruszozyński (Miller) i Stefan

wadzenie wygioszone sprzed zamkniętej kurtyny przez parę aktorów w stylowych strojach (troszkę przedinga i zbyt "sztywno" recytowana notka biograficzna o Schillerze i o XVIII-wiecznym rozwoju teatru niemieckiego).

Dlaczego przemyski teatr nie pokusi się na drukowanie programów wystawianych sztuk? Programy zawierające spis obsady aktorskiej, słów parę o autorze i sztuce — to poważne udogodnienie dla widza, to swego rodzaju forma "utrwalenta" oglądanej sztuki.

Koszt niewielki (pieniądze zreszta powrócą do kasy teatru), a ileż pożytku:

możność oglądania występów tego teatru (przyjeżdżają do Przemysla z specjalnie w tym celu organizo-wanymi wycieczkami lub "Fredre-um" wyjeżdża ze swymi przedstawieniami w tzw. "teren").

LEONARD CZAJKA

zdarzenia tygodnia

Zespół teatralny Zakładowego Domu Kultury Huty "Stalowa Wola" wystawił 31 marca br. premierę sztuki francuskiego pisarza, Jacquesa Companeza pt. "Przyłaciel przyfdzie wieczorem". Jest to sensacyjny, antywojenny dramat w I aktach. Przedstawienie przygotował Józef Żmuda, scenografia Tadeusza Grabary.

W dniach 30 marca — 1 kwietnia od-było się w Sanoku seminarium dla ek-tywu kuituralno-oświatowego woj. rze-szowskiego, poświęcone Drzygołowsniu placówek k.o. do kampanii wyborczej do Sejmu PRL i rad narodowych. Or-ganizatorem seminarium był Dział In-strukcyjno-Melodyczny WDK w Rze-szowie.

W środę w przemyskim Muzeum otwarto wystawe malarstwa i grafiki rzeszowskiego Okregu Związku Polskich Artystów Plastyków. Jest to pełny zestaw eksponowanych prac rzeszowskich plastyków w warszawskiej "Zachęcie". Jak już informowaliśny, w ubieglym roku wystawę dla rzeszowskiego Oddziału ZPAP urządziło Centralne Biuro Wystaw Artystycznych.

ubm. w Gliniku Mariampolskim odbyły się koncerty symfoniczne w wykonaniu Państwowej Orklestry Symfonicznej z Rzegzowa, Orklestra, którą dyrygowaj Janusz Ambros wykonala utwory Griega (wyj. ze suity Peer-Gynt), Delibesa (wyj. ze suity Peer-Gynt), Delibesa (wyj. ze suity Copella), Moniuszki (uwertura Flis), H. Berlioza (uwertura koncertowa Karnawa) rzymski) i Hadżijewa (Taniec bulgarski). Solistka koncertu była solistka Opery Wroczawskiej, Halina Stoniowska, która wykonała arle Verdiego, Puccinego i Moniuszki.

Jak już informowaliśmy, w dniu 26
ubm. w Rzeszowie odbyż się przegląd
amatorskich teatrów poezji i estrad
poetyckich z repertuarem rosyjskim i
radzieckim.
Sąd konkursowy wyróżnił Teatr Słowa "Meluzyna" z ZDK WSK w Rzeszowie za program "Mister-Twister" S.
Marszałka i estradą poetycką PDK z
Jarosławia za kompozycję "O wojnie i
przeciw wojnie".
W przeglądzie uczestniczyli przedstawiciele centralnego sądu konkursowego, którzy po obejrzeniu zespołów w
innych województwach zadecydują o
zaproszeniu na przegląd centralny do Poznania (weźmie w nim udział jedynie 6 teatrów słowa i 8 estrad poetyckich). "Meluzynie" i estradzie z Jarosławia możemy na razie życzyć jedynia udzlału w poznańskim
przeglądzie.

Z okazji Dnia Metalowca w Zakładowym Domu Kultury Sanockiej Fabryki Autobusów w Sanoku urządzono wystawe prac amatorów plastyków, pracowników tego zakładu. Wystawiono tam prace inicjatora i współorganizatora ekspozycji Kazimierza Cieplelowskiego, Stanisława Pacyka i Stanisławy Kielar, Równocześnie swe prace eksponują dzieci pracowników "Autosanu", uczniowie szkoty nr 2.

F bm. w lokalu Ewiązku Polskich Artystów Plastyków w Rzeszowie od-było się spotkanie członków i sympa-tyków Klubu Literackiego s prezesem krakowskiego Oddziału ZLP – Stefa-nem Otwinowskim.

Zespół Międzyszkolnego Ośrodka Prac Pozalekcyjnych w Rzeszowie wystawił w ubiegią niedzielą, tł. 23 ubm. na sce-nie Teatru im. W. Siemiszkowej nos-program rozzywkowy pt. "Tacy jesteś-my, jacy jesteśmy", nawiązujący tema-tycznie do zagadnień szkolnych.

Amatorski zespół teatralny w Łekach Strzyżowskich, w pow. krośnieńskim, wystawił na miejscowej scenie "Za-czarowane kolo" Lucjana Rydja. Sztu-kę wyreżyserował Tadeusz Galuszka.

Chor, orkiestra i solišci Zakladowego Domu Kultury "Autosanu" w Sanoku przedstawiły nowy program, który no-si tytuł: "Sanocki autobus i konwalie". Zesnot zamierza odwiadzie konowale". wszystkie miasta

W Powiatowym Domu Kultury w Lubaczowie w dniach od 25 HI — 1 IV br. odbyły się "Dni Teatru". Stanowiły one przegląd dorobku amatorskiego ruchu artystycznego w powiecie lubaczowskim. W imprezie wziejy udziazespoły teatralne z 9 miejscowości z następującym repertuarem: zespół z Baszni Dolnej wystawił "Wuja z Ameryki" — Jerzego Jesiowskiego, z Suchej Woli — "Burze" Aleksandra Ostrowskiego, z Dąbrowy "Cudowne lekarstwo" Brzezińskiego, z Oleszyc Starych "Milion" Jerzego Jesionowskiego, z Dachnowa (POM) "Umowa stoi", z Narola — "Dwie Ewy" Michala Rusinka, z Łukawca "Obcego" i z Domu Kultury w Lubaczowie "Sluby panieńskie" — Fredry.

Wydział Kultury Prez. PRN w Lubaczowie i Powiatowy Dom Kultury ogłosiły konkurs pod hasłem "Zdobywamy maskę teatralną roku 1955" w dwu kategoriach — zespolów teatralnych i reżyscrów. Do konkursu przystapiło 30 amatorskieło konkursu przystapiło 30 amatorskielo konkurs ma na celu ukazanie dorobku teatru amatorskiego, krzewienie kultury teatralnej, pomnażanie liczby mijośników sztuki scenicznej, jej współtwórców i odbiorców. Rozstrzygnięcie konkursu i rozdanie nagród nastąpi w Dniu Działacza Kultury. nie nagr Kultury.

Karpińskiego podróż z Dobiecka

(Ciąg dalszy ze str. 1) nuowali m. in. Ignacy Krasicki, Wincenty Pol i Maria Bartusówna. Jeszcze raz w życiu, ale już w chwilach zbliżającej się staności, miał Karpiński sposobność zobaczenia Sanu, Osiemdziesięcioletni jego protektor Adam Kazimierz Czartowski którowa powierz czartowski. toryski, którego poeta był niegdyś sekretarzem i dedykował pierwsze tomiki swych poezji, w roku 1811 pisał w liście z Sieniawy: "Gdyby pora roku była po temu, to bym

Cieble via facti wsadził do pojazdu, zawiózł do Karlsbadu i śledzione Twoją w tych wodach opłukawszy

porządnie, przywidzibym nazad do domu i oddałbym odświeżonego Muzom i przyjaźni". Popularny poeta serca rad był wprawdzie odwiedzić księcia generala w Sieniawie, lecz nadwątkone przejściami 1812 roku zdrowie nie pozwalało mu pragnienia zamiaru uskutecz-

ALEKSANDER ZYGA

odpowiada

Dolomiti Opowiadanie, niestety, nie nadaje się do druku, mimo iż wydarzenie, które Pan opisuje jest interesujące i istotnie niezwykie. Jest jeszcze zbyt niedojrzałe i nieokreślone w formie. Gdyby to napisać inaczej, w innej konwencji, mogłaby powstać dobra nowela z kręgu niesamowitej fantastyki. Może warto jeszcze nad tym utworem popracować.

List z Przemyśla

Teatr na zamku...

Przemyślanie o "Fredreum" mówiq zawsze z wielką dumą. I słusznie. Ten stary, amatorski teatr — jakże często zadziwiający wysokim poziomem artystycznym wystawianych sztuk, jest namiastką sceny zawodowej, której powstanie obie-cuje się Przemyślowi i najbliższej okalicy od lat.

"Fredreum" jest jedynym w swoim rodzaju teatrem amatorskim w kraju. Teatr ten mimo licznych trudności i poważnych kryzysów, które musiał w swej wieloletniej działalności pokonywać, potrafit jednak utrzymać swoisty styl gry i interpretacji wystawianych sztuk i bardzo często sięgać po poważne nagrody i wyróżnienia na różnych festiwalach i przegladach.

Jeden z poważnych działaczy kulturalnych, mówiąc o pracy fredrowców, określił ją jako "przemyską szkołę teatru amatorskiego". Jest w tym dużo słuszności. Działalność artystyczna "Fredreum" nie tylko zaszczepia widzom umilowanie sztuki scenicznej, ale również bardzo intensywnie promieniując, powoduje powstawanie w Przemyślu innych zespolów artystycznych. Najbardziej z nich znane, to "Lutnia" i zespół przy Klubie Kolejarza.

Już wkrótce minie 55 lat od momentu powstania "Fredreum". okresie tym przez scenę przemyską przewinelo się wiele nazwisk, liczba ich przekroczyła 1.000. Najstawniejsze z nich, bo związane dziś z głoś-

numi teatrami zawodowumi to: Barbara Kostrzewska, Stefan Hnydziński, Józef i Tadeusz Kondratowie, Kazimierz Opaliński i inni.

Tak. Przemyślanie o "Fredreum" mówią zawsze z wielką dumą. Władze miejskie, gdy jest ku temu okazja, też lubią pochwalić się istnieniem tej szacownej, wiekowej placówki kulturalnej. cówki kulturalnej.

Na dumie nie powinno się jednak poprzestawać... Należy pomyśleć o czymś innym. O czymś, co będzie widomym znakiem szacunku dla tego zaslużonego teatru i co umożliwi

mu dalszy rozwój. Chodzi mi po prostu o przebudowę siedziby "Fredreum" – resztek zamku Kazimierza Wielkiego. W obecnej swojej postaci pomniejsza ona przyjemność kulturalnego wyżywania się bywalcom teatralnym, utrudnia ambitna i cenna działal-

ność sceniczną fredrowców. Kilka lat temu wiele się mówiło pisalo o planach rekonstrukcji resztek zamku i przystosowania go do potrzeb nowoczesnego teatru.

Wspaniale byly te plany...

Na obietnicach się jednak skończyło. "Fredreum" w dalszym ciągu nie ma ani sali widowiskowej z prawdziwejo zdarzenia, ani należytego zaplecza. Teatr w dalszym ciągu "gniecie się" w zbyt malej powierzchni użytkowej, w odrapanej resztówce królewskiego zamku.

"Teatr FREDREUM w Przemyślu na Zamku..." - od tych słów rozpo-

ezyna się każdy afisz informujący o wystawianej aktualnie sztuce. Stare "Fredreum" związało się z jeszcze starszym zamkiem... Kojarzy mi się to z możliwością wspólnego wysiku w rekonstrukcji tej zabytkowej budowli i przystosowa-nia jej do potrzeb teatru — wspol-nego wysiku "zwierzchników" od praw kultury i "zwierzchników" od konserwacji zabytków.

W 160 rocznicę śmierci Fryderyka Schillera przemyskie "Fredreum" wyszło do publiczności z nową sztuką – schillerowską "Intrygą i mi-łością" (w przekładzie Artura Marii Swinarskiego).

Bylem na przedstawieniu i spró-buję podzielić się z Czytelnikami moimi wrażeniami:

Przemyska inscenizacja "Intrygi" nie odbiega chyba daleko od innych prób wystawienia tej tragedit na polskich scenach. Reżyser Karol Trygalski starat się zaakcentować zepsucie i okrucieństwo dworskiej majti w owczesnych Niemczech w przectwieństwie do - może przejaskrawionej — poczciwości i pra-wości mieszczaństwa (wszystko zresztą zgodnie z intencją autora). owej melodramatyczności udało się reżyserowi wypracować obraz dość teatralnie wyrazisty.

Najlepiej w swoich rolach wypadli: Danuta Kowalowa (Lady Milford), Elżbieta Bortnik (Luiza), TeoZóltowski (marszalek dworu von Kalb)

Poprawna scenografia Ryszarda Szymonicza bardzo aktywnie wpro-wadza widza w epokę — pod wzglę-dem strojów bardzo bogata, w przedstawianiu architektury wnętrz

i sprzetów oszczedna, ale wyrazista. "Intrygę i miłość" w przemyskim wydaniu rozpoczyna słowne wpro-

Pisząc o "Fredreum" nie mogę pominąć sprawy, która "boli mnie" od dawna.

Myślę, że pod tym względem po-prą mnie zarówno stali bywalcy "Fredręum" — przemyślanie, jak i widzowie spoza Przemyśla, którzy również od czasu do czasu mają